 **Jestem Polakiem…**

Urodziłem się w Polsce, w kraju położonym w centrum Europy. Jest to piękny i pełen poezji kraj słowiański, gdzie ludzie używają alfabetu łacińskiego, należący do kultury zachodniej. To bardzo ważne, bo to wpłynie później na moje widzenie świata.

Urodziłem się w Polsce, w sercu Europy, w kraju, w którym cztery pory roku są wyraźnie od siebie oddzielone i mają swój koloryt i charakter. Wiosna jest wiosną, a lato latem. Jesień jesienią, a zima zimą. Polska to piękny kraj. Ma swój urok i wdzięk. O każdej porze roku moja Ojczyzna jest piękna. Zarówno wtedy, kiedy świeci słońce, jak i wtedy, kiedy pada deszcz czy śnieg.

Urodziłem się 18 maja 1920 roku w miasteczku Wadowice. Jest to na południu kraju, w górach. Niewysokich wprawdzie, ale w górach. Stąd miłość do gór została we mnie na zawsze.

Mój tata, też Karol jak ja, był żołnierzem, a starszy brat Edmund lekarzem. Mama Emilia zajmowała się domem i nami. Żyliśmy bardzo skromnie. Od dzieciństwa interesowałem się wszystkim wokoło. Nauka szła mi bardzo dobrze, miałem wspaniały dom, rodziców, brata i kolegów. Lubiłem grać w piłkę i chodzić po górach. Na nartach jeździłem od najmłodszych lat. Brałem udział w pracach teatru amatorskiego. Wtedy pokochałem teatr i żywe słowo. Miałem wielu kolegów, którzy nazywali mnie Lolkiem. Byłem też ministrantem. Codziennie służyłem do Mszy świętej.

Kiedy miałem 9 lat, zmarła moja mama. Kiedy miałem 12 lat zmarł mój brat, który był lekarzem i zaraził się szkarlatyną. Został mi tylko ojciec. Po zdaniu matury w maju 1938 roku razem z nim przeprowadziłem się do Krakowa i zapisałem się na Uniwersytet Jagielloński. Chciałem zostać aktorem.

Gdy wybuchał wojna musiałem przerwać studia i pracowałem fizycznie w kamieniołomie, a później w fabryce „Solvay”. Na początku 1941 roku przeżyłem kolejną tragedię – umarł mój ojciec. Zostałem sam…

Gdy usłyszałem Chrystusowe wezwanie, by pójść za Nim zrozumiałem, że On jest Miłością, że On mnie pokochał pierwszy. Podjąłem decyzję i zgłosiłem się do arcybiskupa Adama Sapiehy, który przyjął mnie do seminarium duchownego.

 **Jestem kapłanem…**

Już po wojnie, 1 listopada 1946 roku otrzymałem święcenia kapłańskie w katedrze na Wawelu w Krakowie, a dzień później w krypcie św. Leonarda odprawiłem moją pierwszą w życiu Mszę świętą. Bardzo to przeżyłem. Nie należę już do siebie, ale do Boga i do ludzi. Nie żyję już dla siebie, ale dla Boga i dla ludzi. To ogromny przełom w moim życiu, w rozkładzie sił i we wszystkich moich planach.

Zaraz też skierowano mnie na uzupełniające studia teologiczne do Rzymu, które zakończyłem w 1948 roku obroną pracy doktorskiej. Ale przecież ja tęskniłem za spotkaniami z ludźmi. Po powrocie do kraju kardynał Sapieha wysłał mnie do pracy w Niegowici, wsi u stóp Beskidów. Po roku przeniósł mnie do Krakowa, gdzie zostałem duszpasterzem akademickim. Nasz kraj był wtedy pod okupacją komunistyczną. Komuniści walczyli z Kościołem i religią. Księża nie mogli poza kościołem legalnie spotykać się z młodzieżą, toteż ażeby móc być z podopiecznymi i jeździć na kajaki czy wędrować po górach, zaproponowałem, by zwracali się do mnie: „wujek”. Prosiłem ich o to, żeby nie wywoływać dezaprobaty innych na widok księdza z plecakiem bez sutanny. I tak już zostało. Dla wielu już na zawsze byłem „wujkiem”. Tak było bezpieczniej. Byliśmy rodziną.

Wyjeżdżałem z młodzieżą na narty i piesze wycieczki w góry oraz na spływy kajakowe w północną część kraju – na Mazury i w Bory Tucholskie. Tworzyłem w ten sposób duszpasterstwo turystyczne, którego najważniejszym punktem było odprawianie Mszy świętych pod gołym niebem w warunkach polowych. Nigdy nie mogliśmy się nagadać. Długo w nocy prowadziłem indywidualne rozmowy. Długo   
w noc śpiewaliśmy religijne i patriotyczne przy ognisku.

Byłem ich duszpasterzem, równocześnie byłem ich profesorem. Od 1954 roku prowadziłem zajęcia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Najważniejsze, że byłem duszpasterzem. Uczestniczyłem w ich życiu. Mieszkałem w ich sercach, tak jak oni zamieszkiwali   
w moim. Wzajemnie zależało nam na sobie. Przekraczaliśmy siebie, będąc dla siebie darem.

 **Jestem biskupem…**

I wyglądało na to, że tak już zostanie, gdy tymczasem zostałem odwołany z wyprawy kajakowej i dowiedziałem się, że 4 lipca 1958 roku papież Pius XII mianował mnie biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej. W dniu 28 września 1958 roku odbyła się na Wawelu moja konsekracja biskupia. Byłem najmłodszym biskupem   
w Polsce. Wtedy oddałem się bezgranicznie Matce Bożej i jako motto swojej posługi wybrałem słowa: Totus Tuus, to znaczy Cały Twój. Pragnąłem, aby Ona mnie prowadziła. I nigdy się nie zawiodłem.   
W dniu 30 grudnia 1963 roku papież Paweł VI mianował mnie arcybiskupem metropolitą krakowskim. Wtedy jeszcze bardziej uświadomiłem siebie, że jako biskup mam być ojcem dla ludzi w mojej diecezji. Często jeździłem w teren, aby spotkać tych, którzy byli powierzeni mojej trosce. Bardzo lubiłem spotykać się z młodzieżą.

Jako biskup nie zrezygnowałem z nart. Chociaż wierni rozpoznają swego biskupa, to nartom pozostaję wierny. Najczęściej jadę do Zakopanego, a stamtąd prosto w góry. Tam jakby bliżej było nieba. Narty to nie tylko odpoczynek, ale to również modlitwa.

Jako biskup uczestniczyłem we wszystkich sesjach soboru watykańskiego II, który zwołał papież Jan XXIII. Osiem razy na nim przemawiałem. To było wyjątkowe doświadczenie powszechności Kościoła. Na pewno wiecie, że sobór to zgromadzenie biskupów świata dla rozwiązania najważniejszych spraw w Kościele. Zrozumiałem słowa Jezusa skierowane do apostołów: „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię”. Kościół jak Chrystus wyciąga ręce do wszystkich. Sobór to było wielkie wydarzenie i wielkie doświadczenie dla mnie jako biskupa. Potraktowałem je poważnie. I pozostało we mnie jako doświadczenie wspólnoty wierzących oczekujących swego Pana, czyli Chrystusa.

Dzięki soborowi lepiej zrozumiałem Kościół powszechny i ten krakowski, któremu zostałem poślubiony. Jako biskup noszę pierścień na znak tych zaślubin z Kościołem. Na nowo pokochałem Kościół, nasz wspólny dom i ojczyznę, na nowo odnalazłem jego blask i piękno.

 **Jestem papieżem…**

W dniu 16 października 1978 roku, kiedy miałem skończone   
58 lat, kardynałowie wybrali mnie papieżem, czyli kimś najważniejszym w Kościele. Przyjąłem pokornie ich decyzję, z wiarą, że kierował nimi Duch Święty. Zostałem następcą Chrystusa na ziemi. Tego dnia rozpoczął się drugi etap mojego życia. Stałem się ojcem całego świata. Zostałem 264. następcą świętego Piotra, byłem pierwszym od 1523 roku nie-Włochem na tym urzędzie i oczywiście pierwszym Polakiem i Słowianinem. W ten sposób Pan Bóg polecił mi wprowadzić swój Kościół w trzecie tysiąclecie.

Pamiętam doskonale tę niedzielę 22 października 1978 roku, kiedy na Placu Świętego Piotra rozpoczynałem swoje posługiwanie. Wtedy też powiedziałem do zgromadzonych: „Nie lękajcie się! Otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi!”. Pragnąłem, aby te słowa stały się kluczem mojej posługi. Pragnąłem pomóc współczesnym przestraszonym ludziom przestać się lękać. Dwa największe systemy totalitarne przeszły nad moją Ojczyzną i całą ludzkością. Lęk został przekazany dzieciom i wnukom. Dlatego postanowiłem, aby owo „Nie lękajcie się” stało się moim najważniejszym wezwaniem.

Nie bałem się, bo kierowała mną miłość do Boga i ludzi. Chciałem, być zawsze z ludźmi. Zawsze na nich czekałem, ale i oni czekali na mnie. Chyba tylko dlatego, że tak bardzo kochałem ludzi, mogłem się ich nie bać. Występowałem publicznie bez ochrony. Nigdy nie drżałem o siebie. Ryzykowałem…

W środę 13 maja 1981 roku podczas audiencji, czyli wielkiego spotkania wiernych na Placu Świętego Piotra, zamachowiec Mehmet Ali Agca oddał pięć strzałów w moim kierunku. Zostałem zraniony w brzuch. Straciłem przytomności. Obudziłem się w szpitalu. Ludzie na całym świecie modlili się za mnie. Zamachowiec strzelał, jednak kulę prowadziła inna ręka. Ona – Maryja mnie uratowała. Przeżyłem, aby dalej modlić się i pracować. Dziękuję Matce Bożej za uratowanie życia. W rocznicę zamachu pojechałem do Fatimy osobiście podziękować za ocalenie.

 **Jestem papieżem… codzienność papieża…**

Moje życie, szczególnie jako papieża, stało się jednym pasmem cudownych, a zarazem niezwykle trudnych spotkań. Zapraszałem różnych ludzi na wspólną Mszę świętą, a później na śniadanie, obiad czy kolację. Chciałem posłuchać, co mają do powiedzenia.

Kiedyś w Paryżu przygotowałem poważne przemówienie do młodych. Ale w ostatniej chwili młodzi ludzie przekazali mi kilkanaście pytana do mnie osobiście skierowanych. Miałem problem, czy czytać swoje przygotowane solidnie przemówienie, czy też odpowiadać na ich pytania. Odłożyłem na bok wcześniej przygotowany tekst i patrząc młodym w oczy, odpowiadałem na ich pytania. Byli zachwyceni. Cieszyli się, że potraktowałem ich poważnie. Że im, młodym, miałem coś do powiedzenia i zaproponowania. Nie starałem się im podlizywać ani przypodobać. Stawiałem wysokie wymagania. Ale przecież potraktowałem ich poważnie i godnie.

Chrystus rozesłał swoich apostołów na krańce świata. Starałem się poważnie potraktować to wezwanie. Odbyłem 104 podróże zagraniczne odwiedzając różne miejscowości świata i przemawiając do mieszkających tam ludzi. Wygłosiłem łącznie około trzech tysięcy przemówień i przemierzyłem prawie milion siedemset tysięcy kilometrów. To tak, jakbym okrążył Ziemię wokół równika ponad trzydzieści razy.

Nie mogę usiedzieć na miejscu. Coś mnie ciągnie ku ludziom. Muszę patrzeć im w oczy. Wyciągam do nich ręce. Jadę tam, gdzie mnie zapraszają, nawet do krajów, gdzie wierzących jest mało. Bóg daje mi odwagę. Idę nie tylko do swoich, ale również do wyznawców innych religii. Idę do Żydów, idę do prawosławnych, anglikanów, protestantów, muzułmanów i innych. Osiem razy odwiedziłem moją ukochaną Ojczyznę – Polskę. Ukoronowaniem była pielgrzymka do Ziemi Świętej podczas Jubileuszu 2000 lat chrześcijaństwa.

Moim największym pragnieniem jest pokazać ludziom Chrystusa, przekazać im Jego naukę, aby nią żyli, przekazać entuzjazm wiary   
i nauczyć, by byli mocniejsi niż warunki, w których przyszło im żyć.

 **Jestem papieżem… u schyłku drogi…**

Jestem już zmęczony i poważnie chory. Choroba czyni spustoszenie w moim organizmie. Kiedy zastanawiam się, co było moją główną siłą, tym, co pozwalało na wszystkie moje działania, wskazać mogę tylko jedną – miłość do Chrystusa i do ludzi. Modlitwa trzymała i nadal trzyma mnie przy życiu. Głębokie zakorzenienie w Chrystusie pozwalało mi nieść ten ciężar, który przekracza normalne siły ludzkie, by być pasterzem trzody Chrystusa i Jego Kościoła powszechnego.

Zbliża się wiosna. Niebawem Wielkanoc. Na horyzoncie Niedziela Bożego Miłosierdzia. Tymczasem w ostatnich dniach lekarze, ratując mi życie, pozbawili mnie możliwości mówienia. Mnie, który słowo uważał za narzędzie dialogu i docierania z miłością do ludzi, Pan Bóg kazał zamilknąć. Znaczy to dla mnie, że moja misja dobiega końca.

Coraz wyraźniej czuję, jak zbliża się kres mojego życia. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale jestem gotowy i tak jak wszystko, również   
i tę chwilę oddaję w ręce Matki mojego Mistrza, powtarzając: „Cały jestem Twój, Maryjo!” Czuję wyraźnie, że całkowicie znajduję się   
w Bożych rękach, pozostaję nadal przez cały czas do dyspozycji mojego Pana.

Jest sobota 2 kwietnia 2005 roku. Są przy mnie moi najbliżsi współpracownicy, mój sekretarz arcybiskup Stanisław Dziwisz, mój uczeń ksiądz profesor Tadeusz Styczeń, drugi sekretarz ksiądz Mieczysław Mokrzycki i siostry, które prowadziły mój skromny dom. Odchodząc do domu Ojca powiedziałem wszystkim, którzy byli   
w pobliżu, na pożegnanie: „Amen”.

Była godzina 2137. Tę godzinę ludzie zapamiętali i łączą się ze mną w modlitwie nawet po moim odejściu.

W ten sposób żyję w ich sercach…

Fragmenty książki: o. Jan Góra, *Nazywam się… Jan Paweł II*, Poznań 2008